

Jeszcze o Floydzie, Białorusi i amerykańskich mediach [FELIETON]

Amerykańskie media mają w swoim repertuarze pewne wyrażenia lub zbitki słów, które niedokładnie opisują rzeczywistość, ale których dziennikarze i politycy uporczywie używają. Fałszują one przekaz i tworzą równoległą do rzeczywistości narrację, którą bardzo trudno kwestionować, bo zawiera elementy prawdy – pisze Ewa Thompson w kolejnym felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Ostatni tydzień maja dostarczył sporo argumentów głosicielom upadku Ameryki. 25 maja Stany Zjednoczone obchodziły pierwszą rocznicę śmierci drobnego przestępcy George Floyda, który zmarł w wyniku brutalnego policyjnego manewru uciskania szyi w momencie aresztowania. Policjant, który był bezpośrednim sprawcą śmierci, został jednogłośnie uznany winnym świadomego morderstwa przez jury, które od miesiąca miało dostęp do potępiających policję wypowiedzi, wywiadów i artykułów w amerykańskich mediach. Rola narkotyków, którymi nadziany był Floyd, została całkowicie pominięta. Ta zdolność mediów amerykańskich do niezauważania rzeczy oczywistych łączy dwa tematy: ten związany z Floydem i niedawne wydarzenia na Białorusi.

W ubiegłym roku powstało wiele dzieł sztuki upamiętniających George'a Floyda. Odbyło się wiele koncertów. Wiele placów i ulic zostało nazwane jego imieniem. Kongres szykuje się do uchwalenia

nowych praw, zwanych już teraz prawami Floyda. Miliony dotacji z prywatnych kieszeni wpłynęły do kas organizacji, promujących Afroamerykanów. Szkoła podstawowa w Houston, do której chodził Floyd, została przemianowana na szkołę im. George Floyda. Wielu Afroamerykanów otrzymało promocję w pracy. Ukoronowaniem obchodów na cześć Floyda było zaproszenie jego rodziny do Białego Domu na prywatny obiad przy końcu maja. Wizyta w Białym Domu była prywatna, tzn. na spotkanie z prezydentem Bidenem nie zostali dopuszczeni dziennikarze. Za to po wyjściu z tego przybytku demokracji prawnicy Floyda, jego bracia, kuzyni i kuzynki, oraz dzieci (Floyd miał troje dzieci, ale ani jednej żony) zostali otoczeni przez dziennikarzy i kamery telewizyjne, i każdy z nich wygłosił przemówienie. Jeden z prawników Floyda oświadczył, że: „Jeżeli możliwe jest uchwalenie prawa o ochronie orłów, możliwe jest uchwalenie prawa o ochronie Amerykanów afrykańskiego pochodzenia”. Jedna z córek Floyda oznajmiła, że jej ojciec „zmienił świat”. Sprawa Floyda ułatwiła również działalność organizacji (nie mylić ze sloganem!) Black Lives Matter, której marksistowskie i antyzachodnie korzenie są widoczne dla wszystkich tych, którzy pofatygują się coś na ten temat przeczytać.

Ukoronowaniem obchodów na cześć Floyda było zaproszenie jego rodziny do Białego Domu na prywatny obiad przy końcu maja

Ale w porównaniu z herosami przeszłości (choćby tymi, którzy walczyli o równouprawnienie czarnoskórych), Floyd wypada raczej marnie.

Zatuszowano fakt, że całe życie balansował na krawędzi prawa, miał kilka starć z policją, nigdzie nie pracował, nie zajmował się

wychowaniem swoich nieślubnych dzieci, używał narkotyków. Niczego specjalnego nie dokonał i nie może być uważany za wzorzec zachowania. To, że media amerykańskie potrafiły całkowicie pominąć jego prawdziwy życiorys przypomina mi o niegdysiejszym haśle „New York Timesa”: *All the news that’s fit to print*. Wszystkie wiadomości, które nadają się do druku. A kto decyduje, które wiadomości nadają się do druku? Oczywiście redaktorzy „New York Timesa”. To samo mogliby powiedzieć redaktorzy „Trybuny Ludu” i „Prawdy”. Sprawa Floyda naświetliła raz jeszcze olbrzymią władzę, jaką posiada czwarty stan w postindustrialnych społeczeństwach. Pokazała również, że dawne republikańskie ideały Stanów Zjednoczonych („będziecie mieli republikę, jeżeli potraficie ją utrzymać”, rzucił kiedyś Benjamin Franklin) są zastępowane doraźnymi hasłami, takimi jak „Black Lives Matter”.

Statystyki pokazują, że Amerykanie afrykańskiego pochodzenia są częstszymi incjatorami napadów rabunkowych niż biali; policja więc, jeżeli widzi białego i czarnego na miejscu rabunku, łapie tego drugiego, bo prawdopodobnie to on jest winny. Ale w ten sposób policjanci krzywdzą pewien procent uczciwych Afrykańczyków. Więc zaczęła się presja, aby uchwalić prawo, zabraniające tego rodzaju stereotypowych aresztowań. Dorobienie Floydowi anielskich skrzydełek (jest kilka murali przedstawiających go ze skrzydłami) ośmieliło innych Afrykańczyków, których amerykańska policja potraktowała brutalnie. Zaczęły się wiece i ataki na policyjny immunitet, jak również żądania, aby zabronić prawnie techniki stereotyping. Media ochoczo kibicują tego rodzaju postulatam. Ostrzeżenia, że mogą one doprowadzić do anarchii, a przynajmniej do pogorszenia poczucia bezpieczeństwa zwykłych obywateli, pojawiają się jedynie w niszowych mediach prawniczych, którym na ogół brak jest funduszy na rozwój i reklamę. Więc slogany w rodzaju „policja traktuje czarnych gorzej niż białych”

albo „wielu czarnych i bardzo niewielu białych zginęło z rąk policji” uważane są za fakty. I tu dochodzimy do czegoś, co wiąże sprawę Floyda z Białorusią.

Wspólnym mianownikiem jest to, że amerykańskie media mają w swoim repertuarze pewne wyrażenia lub zbitki słów, które niedokładnie opisują rzeczywistość, ale których dziennikarze i politycy uporczywie używają. Fałszują one przekaz i tworzą równoległą do rzeczywistości narrację, którą bardzo trudno kwestionować, bo zawiera elementy prawdy. Są to wyrażenia „politycznie poprawne”. Sygnał do ich używania dają najbardziej wpływowe pisma i korporacje medialne, takie jak NY Times, NBC, CBS, ABC. A więc Floyd to „ofiara rasizmu”, zaś walka Białorusinów o uniezależnienie się od Moskwy to „walka z dyktatorem o demokrację”. W kręgu tych politycznie poprawnych wyrażen Białoruś jest określana jako kraj, w którym władzę schwylił okrutny i wszechwładny dyktator, zaś Floyd staje się niewinną ofiarą policyjnej przemocy.

*Kraje Zachodu – w tym USA
– uczestniczyły w wielkich
podbojach kolonialnych
ubiegłych stuleci i część ich
potęgi i siły ekonomicznej
wywodzi się z eksploatacji
tychże kolonii*

Dlaczego tak jest? W sprawie Floyda jest to wynik tego, że już od paru pokoleń neomarksistowska lewica dostarcza słownictwa i sloganów dotyczących problemów

społecznych w Ameryce. Usunięto klasę robotniczą z rzekomego centrum wyzysku i postawiono tam ludzi o kolorze skóry innym niż

biały, jak również mniejszości seksualne. Sprawa Białorusi jest bardziej skomplikowana. Kraje Zachodu – w tym USA – uczestniczyły w wielkich podbojach kolonialnych ubiegłych stuleci i część ich potęgi i siły ekonomicznej wywodzi się z eksploatacji tychże kolonii. Potomkowie kolonialistów nie chcą być oskarżani o kolonialny wyzysk i niszczenie sąsiadujących z nimi narodów. Unikają jak ognia porównywania „tradycyjnego” kolonializmu za oceanem z kolonializmem za miedzą. Nie chcą wiedzieć, że Europa Środkowa i Wschodnia krwawiły przez wiele pokoleń jako kolonie Wschodu i Zachodu, stąd ich ubóstwo i inne oznaki słabości. Wolą mówić o „zależności”. Udają, że kraje takie jak Białoruś (a przed rokiem 1990 Polska) to kraje satelitarne, które dobrowolnie wybrały sobie ustrój komunistyczny i przewoźenie Moskwy. Dlatego słowo „wolność”, którego używa białoruski politolog Franak Viačorka oraz inni przedstawiciele Europy Środkowej, w narracji Zachodu o Europie Środkowej zastępowane jest słowem „demokracja”. A przecież demokracja jest pochodną wolności. Media wolą „demokrację” tout court, bo jest to słowo wieloznaczne, wszak istnieje Demokratyczna Republika Kongo i istniała Deutsche Demokratische Republik. Dlatego wciąż czytamy, że Białoruś jest satelitą i wasalem, a nie kolonią, utrzymywaną w obozie prorosyjskim siłą rosyjskiej armii.

Amerykańskie media odnotowały skandal z przymusowym lądowaniem samolotu Ryanair w Mińsku, aresztowaniem Romana Protasiewicza i jego wymuszonym oświadczeniem, dostarczonym mediom przez białoruskie władze. Ale media te, tak bystre w odnotowywaniu przewinień policji w USA, wydają się być ślepe na implikacje aresztowania w postsowieckim państwie. Wciąż uparcie twierdzą, że Białoruś jest „sprzymierzeńcem” Rosji, tak jak kiedyś twierdziły, że Polska jest „satelitą” Związku Sowieckiego. Polska była krajem podbitym, kolonizowanym, trzymanym w ryzach przez stacjonujące w

niej wojska sowieckie, krajem, w którym władze mordowały tych najlepszych — nie zaś żadnym „satelitą”, bo to sugeruje dobrowolność i zgodę na podrzędność.

Wolny od stuleci Zachód (czy raczej jego media) nie chce zrozumieć różnicy pomiędzy dobrowolnym sprzymierzeńcem wielkiego mocarstwa a europejską kolonią, w której większość obywateli nie chce obcych rządów. To, że po iluś tam latach pojawia się grupa służalców imperium, jest rzeczą normalną: wielu ludzi za lepsze warunki życiowe zgodzi się wyśpiewywać hymny na cześć zniewolenia.

Wydaje mi się, że taka jest trajektoria błędnych interpretacji w amerykańskich mediach. Są one sygnałem, że światowy policjant się starzeje i przestaje widzieć świat takim, jakim on rzeczywiście jest. Amerykańskie media nie chcą uznać takich kategorii jak „zniewolony” czy „podbity”. Przedstawiają kraje zniewolone, których rząd jest mianowany z zagranicy, jako kraje, które dobrowolnie wybrały swoją polityczną przynależność i są odpowiedzialne za to, co się w nich dzieje. Więc Białoruś jest przedstawiona jako kraj „ostatniego dyktatora w Europie”, podczas gdy jest to kraj pod nieomal pełnym jarzmem Moskwy. Ta percepcja wślizguje się do prac naukowych; niektóre z nich fałszują historię na dużą skalę. Tego rodzaju okłamywanie siebie i społeczeństwa jest niechybną oznaką intelektualnego znużenia, a więc i rosnącej słabości państwa.

Ewa Thompson
Rice University

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”